

Wcale też nie mówię, że jestem 100-procentowym chrześcijaninem, w tym sensie, że ja się nim codziennie staję. Codziennie mam wybór: czy zaczynam dzień od WhatsAppa i wiadomości, czy zaczynam dzień od Boga i od modlitwy. Kiedy mam możliwość coś zarobić, to albo wybieram drogę prawą i czynię dobro, albo wybieram drogę nieprawą, czyli robię coś złego, krzywdzę, oszukuję, itp.. Tak będzie do końca życia.

Ale Pan Bóg mnie nie skreślił i to jest piękne

Ks. Mariusz Jaskot pochodzi z Wyszkowa. Jego droga do kapłaństwa była długa i inna niż większości księży. Wezwanie do kapłaństwa usłyszał na Światowych Dniach Młodzieży w Kolonii w 2005 roku. Miał wtedy 30 lat, za sobą trudne przejścia życiowe i sporo na sumieniu. Mimo tego Droga Neokatechumenalna, do której wstąpił, obdarzyła go zaufaniem i skierowała do seminarium. Losowanie zdecydowało, że studiował i był formowany w Zambii, w Afryce. Wyjechał tam w 2010 r., święcenia kapłańskie otrzymał w Zambii we wrześniu 2020 r. Został księdzem, mając 45 lat. Pracę magisterską napisał z teologii dogmatycznej o łasce.

Poprosiłam go o rozmowę. Zapytał, po co. Odpowiedziałam, że żyjemy w trudnych czasach, wielu ludzi jest zagubionych, a jego przykład pokazuje, że warto, nawet bardzo długo i błędząc, szukać swojego miejsca i powołania w życiu.

- Urodziłem się w 1975 r., 10 miesięcy po ślubie moich rodziców Zdzisławy i Romana. Czas do piątego roku życia pamiętam jako idealny. Najbardziej kochałem moją babcię, która się mną opiekowała. Mieszkaliśmy razem z nią w jednym domu na ulicy Puławskiego. Babcia była tą, która wprowadzała mnie w życie, szczególnie duchowe. Z nią pierwszy raz modliłem się na różańcu, ona prowadziła mnie do kościoła. Kościół zapamiętałem jako miejsce zimą ciepłe, bo tam były grzejniki, na których można było siadać, a latem jako chłodne. Zapamiętałem piękne malowidła i gołębie w kościele. Muzykę, która też mi się podobała, i modlącego się księdza. Zawsze stałem przy balaskach przed ołtarzem. Jako 5-latek odprawiałem msze św. w domu, wycinałem z opłatka hostię i patrzyłem pod słońce, czy coś się zmienia. Pamiętam też obrazy, wydarzenia, jak reperowanie samochodu z ojcem, odgarnianie śniegu. Moja babcia była krawcową, więc to mnie też interesowało, gotowanie. Ale później między rodzicami zaczęło być coraz gorzej, widziałem, że się kłócą, że jest to trudne dla nich, ale było też trudne i dla mnie. Babcia mi wtedy powiedziała, że jeśli będą się modlił z całego serca w dobrej intencji, będzie to dobre dla wszystkich, i będę wytrwały w tej modlitwie, to Pan Bóg będzie zmuszony tę modlitwę wysłuchać. No i ja, 5-latek, modliłem się wytrwale, myślę, że pół roku na pewno.

I to pamiętasz?

- Tak, to takie dziwne, mam pamięć wybiórczą, ale to pamiętam. Między rodzicami było coraz gorzej. Doszło do rozwodu. Mama bardzo cierpiała, a jednocześnie była bardzo dzielna. Widziałam, jak oddawała za nas, za mnie i młodszego brata, życie. Nie jadła, żebyśmy my mogli jeść. Nie ubierała się tak, jak chciała, żeby nam coś kupić. Była bardzo dzielną kobietą. Pomagała nam też rodzina. Mamie pomagali w wychowywaniu nas ciotki, wujkowie. Wakacje spędzaliśmy zwykle u nich w domach albo na działkach.

Już taty nie było w twoim życiu?

- On się pojawiał od czasu do czasu, ale generalnie był nieobecny. Zamykałem się w sobie coraz bardziej. Nie interesowała mnie moja grupa wiekowa, nie interesowały mnie dzieci z klasy. Miałem swoją ulubioną zabawę, biegałem od okna do okna, obserwowałem ludzi i opowiadałem ich historie: ten pan wraca z pracy, jest zmęczony, ta kobieta jest pielęgniarką. To była taka moja telenowela.

Nie byłeś w żadnej grupie rówieśniczej?

- Oczywiście przed blokiem byłem, ale szukałem towarzystwa starszych kolegów, u których mogłem dostać trochę afektu, akceptacji. Jakoś tak... Podstawówka minęła mi bardzo szybko. W wieku 12 lat spróbowałem już wszystkiego, mam na myśli papierosy, alkohol, seks. W momencie Pierwszej Komunii nastąpił rozłam między mną a Panem Bogiem.

Bo nie były wysłuchane twoje modlitwy?

- Nie były wysłuchane moje modlitwy, życie było bez sensu. Do ósmej klasy jakoś dojechałem.

Rodzice wymyślili, że może to dla mnie będzie dobre, jeśli pójdę do szkoły hotelarskiej.

A nie sam to wymyśliłeś, żeby wyjechać?

- Myślę, że to tak się poskładało. Rodzice "przybili" mój plan ucieczki. Wyjechałem do innego miasta. Pierwsze dwa lata mieszkałem w internacie. Bardzo szybko wszedłem w dorosłe życie, a że to było technikum hotelarskie, związane z gastronomią, a więc praktyki w super hotelach; mama mi pomagała czy ojciec. Zaczęłem pracować w nocnym klubie jako kelner, potem byłem tam kierownikiem – jako osiemnastolatek. No i szkoła poszła na dalszy plan, III klasę oblałem, miałem 12 niedostatecznych ocen na 13 przedmiotów, ale tym się w ogóle nie przejmowałem. Mieszkałem z kolegami. Żeby żyć na takim poziomie, na jakim chciałem, na jakim żyli moi koledzy, starsi koledzy, trzeba było mieć pieniądze. A te, które zarabiałem i dostawałem od rodziców, nie wystarczały, więc trzeba było szukać jakichś innych źródeł. Różne rzeczy robiłem, nie ma sensu teraz mówić szczegółowo, ale to mnie wpędziło w kolejne uzależnienie. Pierwsze, źródłowe, było seksualne, potem był alkohol, narkotyki. Byłem czynnym narkomanem, brałem 3 razy dziennie w żyłę. Byłem bliski śmierci, a jednocześnie walczyłem o życie. Potrafiłem umiejętnie lawirować między różnymi grupami, w których byłem. No, ale to kiedyś się kończyło, trzeba było płacić długi itd., więc uciekłem z tamtego miasta. Wybiegnę trochę naprzód, w seminarium uczyliśmy się Prawa kanonicznego i tam są warunki, paragrafy, które mówią, kto nie może zostać księdzem, to ja byłem zawsze na granicy. Mogłem zrobić to lub tamto, ale tak się zdarzyło, że tego nie zrobiłem.

Jak trafiłeś do seminarium po tym wszystkim? Przecież jeszcze matury nie miałeś.

- Maturę zrobiłem cudem, bo dyrektor technikum mówi do mnie: „Mariusz, pomogę ci skończyć szkołę, ale nie podchodź do matury, bo ty jej nie zdasz, ja ci to gwarantuję”. Odpowiadałem mu: „Dobrze, dobrze” i w dniu, kiedy mijał termin składania wniosków, złożyłem wniosek o maturę. I maturę zdałem na ładne oczy, nauczyciele mnie lubili. Zdarzało się, że przyjeżdżałem wtedy do Wyszkowa, spotykałem moich kolegów, mam wrażenie, że "implantowałem" ten sposób życia, w jakim żyłem. A może po prostu to był taki czas dla Polski, że wiele różnych pułapek pojawiło się dla młodzieży. Wiem, że wielu z moich kolegów z tamtych czasów już nie żyje.

Uciekłem do Irlandii, tam pracowałem przez 2 lata na promie. Oddałem wszystkie długi. Myślę, że dzięki temu zachowałem życie... na pewno zdrowie. Wróciłem do kraju, ale nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Pracowałem w 50 różnych miejscach, przeprowadzałem się też mniej więcej tyle razy. I po 7 latach, jak już próbowałem się ustakować, zobaczyłem, że to wszystko, co robiłem w życiu, jest bez sensu, że to mnie zabija, że to mnie niszczy. Wchodząc ciągle w nowe związki, widziałem, że nie potrafię żyć w zdrowych relacjach z innymi. Zdarzyło się, że spotkałem dziewczynę, która była dla mnie atrakcyjna pod każdym względem, zaczęliśmy razem żyć. Ustatkowałem się, przestałem brać narkotyki, starałem się nie pić...

Bez żadnego odwyku?

- Tak, ale to działało się stopniowo. Heroinę przestałem brać, jak pojechałem do Irlandii. Później zauważyłem, że mojej dziewczynie nie odpowiada, że palę marihuanę, uważała, że demon we mnie wtedy wstępuje. Sam też widziałem pewne zachowania, które mnie przerażały. I tak z tego wyszedłem. Dalej był alkohol, czasami destrukcyjne zachowania. Ale właśnie w tym czasie znalazła mnie policja i za moje działania z przeszłości zamknęli mnie do aresztu.

Mówiłeś, że długi pospłacałeś...

- Z grupy przyjaciół, z którymi jeździliśmy na wakacje, bawiliśmy się, robiliśmy różne rzeczy, mniej lub bardziej ciekawe, powstała grupa przestępcza. No i mnie "posadzili". To był najgorszy czas w moim życiu. Widziałem, że demon ma do mnie największy przystęp. I była jedna taka noc, kiedy uwierzyłem w to, co on mówi, że moje życie nie ma sensu, że najlepiej będzie, jak się zabiję... Już zdecydowałem, że to zrobię, tylko czekałem, aż ci, którzy są ze mną w celi, zasną. I zobaczyłem nad swoim łóżkiem obrazek, na którym było napisane: „*Bo góry mogą ustąpić i pagórki zachwiać się, ale miłość moja nie odstąpi od ciebie*” (Księga Izajasza 54,10). I w tym momencie uwierzyłem w to Słowo, a demon uciekł natychmiast. Rano, jak się obudziłem, spojrzałem przez okno i powiedziałem, patrząc na wieże kościoła: „Jak stąd wyjdę, to Ci podziękuję”. W tym momencie, mogę powiedzieć, zaczęła się moja przemiana. Wyszedłem z aresztu, dostałem najwyższą karę z możliwych: 4 lata więzienia na 5 lat w zawieszeniu. Pierwsze, co zrobiłem, to poszedłem na terapię. Zaczęłem też studiować psychologię. Mojej dziewczynie nie odpowiadało, że chciałem iść do ośrodka, więc wybrałem pośredni sposób – chodziłem na terapię dzienną 5 dni w tygodniu przez półtora roku. Trzy sesje. Bardzo mi były pomocne. Rozeszliśmy się z tą dziewczyną. Zaczęłem pracować, studiowałem i robiłem terapię. Nie wiem, skąd miałem tyle siły i zaparcia. Pamiętam, że terapeuta, wspaniały człowiek, nie jest chrześcijaninem, ale bardzo, bardzo mi pomagał, powiedział do nas, bo to była terapia grupowa: „Wszyscy, jak tutaj jesteście (10 osób), jesteście profesorami od zabijania. I każdy z was myśli, że z tego wyjdzie, to ja wam powiem, że tylko 1 z was statystycznie poradzi sobie z problemami. Każdy z was myśli, że to jest on”.

Czy to ty?

- Nie wiem jeszcze, bo to życie się nie skończyło i nie wiem, co u pozostałych. Ale oczywiście, myślę, że to ja. Znalazłem Chrystusa. Na psychologii była inna dziewczyna, która zobaczyła na mojej szyi różaniec. Nie nosiłem go, dlatego że modliłem się na różańcu, ale nosiłem go, żeby się chronić przed demonem, który cały czas był obecny w moim życiu osobowo.

To znaczy poprzez ludzi?

- Poprzez ludzi, poprzez głosy, czułem jego obecność. Ta dziewczyna, myśląc, że jestem katolikiem praktykującym, poprosiła mnie, żebym z nią poszedł najpierw na wesele, a potem na spotkanie młodzieży, która jechała na Światowe Dni Młodzieży do Kolonii (2005 r.). To było tuż po śmierci Jana Pawła II. Ważny czas dla wielu.

Poszedłem z nią na wesele, opowiedziałem całą swoją historię. Nie widziałem w jej oczach potępienia, tylko widziałem miłość. I poszedłem z nią na to spotkanie dla młodych, chociaż bardzo nie chciałem, bo uważałem, że oni wszyscy są zmanipulowani. Ale zobaczyłem tam osobę świecką, która miała wspaniałą relację z tymi młodymi. Wtedy studiowałem psychologię, naprawdę studiowałem (chciałem specjalizować się w manipulacji; to mnie interesowało, bo byłem manipulowany i sam manipulowałem). I ten człowiek mnie zachwyił. Powiedziałem Bogu: „Ja też chcę być taki jak on”. W międzyczasie znalazłem spowiednika, misjonarza, któremu też opowiedziałem swoją historię, a on zwrócił się do mnie: „No to uklęknij”. Nie wiedziałem, czego chce ode mnie, bo moim zdaniem nie byłem gotowy na spowiedź. Pomyślałem, że może jest homoseksualny i zaraz coś mi zrobi. Byłem gotowy go bić, a on położył na mnie ręce i powiedział: „Ja mocą Kościoła odpuszczam tobie grzechy”. Uważałem, że tych grzechów nie może mi jeszcze odpuścić, według mnie nie byłem gotowy. Ale to było dla mnie rewolucyjne, chociaż jeszcze przez wiele lat uważałem, że nie jestem godny tego, żeby być w Kościele. Przez wiele lat wątpiłem w to, że mogę być księdzem. Pierwszy raz świadomie słyszałem, że Pan Bóg mnie woła.

Kiedy usłyszałeś?

- Właśnie na Światowych Dniach Młodzieży. Założyciel wspólnot neokatechumenalnych Kiko Argüello opowiedział historię chłopaków, którzy żyją w Brazylii na plaży, którzy handlują narkotykami, wykorzystują dziewczyny, po prostu żyją bardzo luźno, i on wtedy mówi: „Teraz mówię specjalnie do was, księży: Nie dziwcie się, jeśli Pan będzie powoływał takich ludzi do prezbiteratu. On powołuje tego, kogo chce”. Siedziałem wśród tysięcy ludzi, zakrywałem głowę i mówiłem: „Nie mogę już tego dłużej słuchać, to nie jest możliwe, to nie jest możliwe”.

Mówiłeś to niemożliwe, ale usłyszałeś?

- No tak, ale nie byłem pewny. Może to moja psychika? Skąd to się w ogóle bierze? To mnie przerastało, nie potrafiłem tego racjonalnie wytłumaczyć. Na tym wyjeździe jest też taki zwyczaj, że się otwiera Pismo Święte. Otworzyłem Pismo Święte i kiedy czytałem, płonąłem w środku, czułem, że Bóg jest we mnie. To trudno opisać, czułem obecność Bożą, że On do mnie mówi przez to Słowo, a jednocześnie jest we mnie. W ogóle ten wyjazd był niesamowity. Później wszedłem do wspólnoty neokatechumenalnej. Potrzebowałem 3 lat, żeby potwierdzić, że rzeczywiście wierzę, że Pan Bóg mnie woła do prezbiteratu i wstałem na spotkaniu, by o tym powiedzieć. Katechiści mówili mi potem przez 2,5 roku: „Nie. Czekaj, jesteś neofita, skończ studia”. A ja już nie widziałem sensu w studiowaniu psychologii. Tam są teorie, nie ma faktów. Nie znajdowałem odpowiedzi na pytania, dlaczego ja taki jestem, dlaczego człowiek taki jest, dlaczego tak wybiera? Egzystencjalne pytania. I coraz więcej znajdowałem odpowiedzi w Kościele, w Piśmie Świętym. Kocham Słowo, kocham też Kościół. Kocham Sakramenty. I po 2,5 roku z grupy, w której było kilka osób decydujących, tylko jedna powiedziała: „Ja z nim bym zaryzykował. Zobaczmy, co będzie, pozwólmy mu wejść do seminarium”. W międzyczasie spróbowałem z benedyktynami, z dominikanami, nie wychodziło, chociaż były cudowne wydarzenia, ale to nie wychodziło. Pojechałem do Włoch na spotkanie powołaniowe, gdzie losuje się imiona chłopaków z koszyka do 120 seminariów na całym świecie. Chciałem jechać do Włoch albo do Izraela, a mnie wylosowano do Afryki. Pamiętam, że mówiłem: „Panie, jaka Afryka?! Ale jeśli to jest twoje powołanie...”.

Jakie to było seminarium?

- Seminarium Redemptoris Mater. Pojechałem w 2010 r.; udawało mi się przyjeżdżać na wakacje do Polski. Byłem 2 lata na wędrowaniu we Włoszech, wędrowałem też w Namibii.

Na czym polega wędrowanie?

- To praktyka duszpasterska. Polega na głoszeniu Chrystusa tym, do których jesteś wysłany, i na zakładaniu wspólnot właśnie dla takich ludzi, jak ja byłem, którzy do kościoła nie chodzą, bo się zrazili, ale są poszukujący. A przede wszystkim poszukuje ich Pan Bóg, bo to jest tak, że kiedy my poszukujemy, myślimy, że to nasza inwencja, nasza wola. A pierwszy zawsze jest Bóg, pierwsza zawsze jest łaska. To moje doświadczenie, nie tylko studia.

Skończyłem Diecezjalno-Misyjne Seminarium Duchowne Redemptoris Mater w Kitwe w Zambii, jeszcze rok byłem w Warszawie, napisałem pracę magisterską z teologii dogmatycznej o łasce. To był wspaniały rok. W seminarium byłem łącznie 10 lat.

Dlaczego tak długo?

- U nas bardzo indywidualnie podchodzą do powołania. Kiedy jesteś gotowy, to jesteś gotowy, jeśli nie jesteś gotowy, to czekasz, aż będziesz gotowy, albo może musisz odejść. Jestem wyświęcony dla diecezji Ndola w Zambii.

I zawsze będziesz w Afryce?

- Tego nie wiem, bo jestem misjonarzem. Widzę, że mam wolność bycia tam, gdzie Kościół mnie posyła. Jeśli Kościół by mi nie pozwolił przyjechać na pogrzeb Matki, bym nie przyjechał. Oczywiście mam swoje pragnienia, ale one często nie są zgodne z wolą Pana Boga.

W jakim języku nauczasz?

- Tam mówi się w języku icibemba, ale oficjalnym językiem w Zambii jest język angielski. Chrześcijaństwo w Zambii jest od 130-140 lat, katolicy są tam może od 110 lat. Wiara tam jest bardzo gorąca, ale z drugiej strony płytka. Ale o wiele łatwiej się ją głosi niż w Polsce czy w Europie. Ludzie przyjmują Dobrą Nowinę o Jezusie Chrystusie. Teraz jestem w mieście 80-tysięcznym, w parafii, która ma kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców, 3-4 tysiące co tydzień przychodzi do kościoła. Oprócz tego jestem odpowiedzialny za 5 kaplic zewnętrznych w buszu, co mi sprawia ogromną radość. I uczę się kapłaństwa, uczę się sakramentów, uczę się posługi tym ludziom. Uczę się cały czas ich języka.

Masz od kogo się uczyć?

- Mam swojego proboszcza, braci, którzy też ukończyli seminarium, jestem w stałej formacji, bo to nie tak, że moja formacja się skończyła. Ona cały czas trwa, mam swoich katechistów, swoją wspólnotę. Tak samo w Warszawie mam swoją wspólnotę, która mi bardzo pomaga i tej pomocy najbardziej się doświadczam w trudnych momentach, jak teraz śmierć matki. Oni są ze mną, ze mną się modlą, pocieszają, wspierają, dają kasę. Kiedy potrzebuję, wspólnota jest pierwsza, nie rodzina.

Mówiłeś, że 3 lat potrzebowałeś, by uwierzyć, że jesteś wezwany. Co sprawiło, że uwierzyłeś?

- W Kościele jest tak, że człowiekowi może się wydawać bardzo wiele rzeczy, ale to Kościół jest tym, który potwierdza albo zaprzecza czemuś. Mnie się wydawało, że Pan Bóg mnie powołuje, a Kościół to w pewnym momencie potwierdza: „Tak, wydaje nam się, że to może być jego powołanie, spróbujmy”. W seminarium też jest ten czas rozeznawania, do momentu, aż biskup położy ręce na ciebie podczas święceń diakonatu i mówi: „My i Duch Święty”. Nigdy nie ma pewności 100-procentowej, że to jest TO. Poza tym człowiek ma zawsze wolną wolę i może zdecydować: NIE. Z lęku, ze słabości może powiedzieć NIE.

I teraz jesteś przekonany, że to jest TO?

- Jestem przekonany, że to jest TO. Jestem zadowolony. Oczywiście mam swoje walki. Wiem, że te bramy, przez które demon się do mnie dobierał, muszą być cały czas pod kontrolą, muszą być obwarowane.

Ten demon to szatan?

- Tak, już jako dziecko, kiedy mówiłem o opowiadaniu historii ludzi, których widziałem przez okno, nie tylko dyskutowałem ze sobą samym, ale zacząłem dyskutować z demonem. On stał się jakby powiernikiem, gotowym zawsze do podpowiedzi, do rozmowy. To trwało bardzo długo, ale zobaczyłem, i to jest moje doświadczenie, że nie ma, a przechodziłem kilka inicjacji w życiu, nie ma silniejszej inicjacji niż Chrzest święty. Tego nie jest w stanie nic zmienić, zabrać, zmyć.

Jak rodzina przyjęła twoje powołanie?

- W rodzinie byłem skreślony, w takim sensie, że „z niego już nic dobrego nie będzie”. Ale Pan Bóg mnie nie skreślił i to jest piękne. Część z nich bardzo się cieszy, część do tej pory nie wierzy, część wyznaje zasadę, że człowiek się nie zmienia. Niektórzy komentują, że z jednej patologii wpadłem w drugą.

Jak ocenisz to, co teraz dzieje się wokół Kościoła?

- Są pewne działania, które przynoszą konsekwencje. Jeśli człowiek świadomie ukrywa jakiś grzech, to ten grzech powoduje pewne zniszczenie w jego duszy, w jego osobie. Moim zdaniem to bardzo

dobrze, że to wychodzi na wierzch. Kościół powoli odkrywa się, staje się nagi. I to, co mówił Benedykt XVI, że Kościół będzie ubogi, mały i pokorny, jest prawdą, idziemy w tą stronę. Mnie, wiem, że uratował Jezus Chrystus, którego spotykam codziennie.

A jeśli ludzie nie spotykają Chrystusa, nie potrafią Go zauważyć?

- Bo im nie głosi się Chrystusa. Głosi się siebie, jakieś idee. Dla mnie Kościół był ideą, jakieś idee ktoś mi tam sprzedawał. Nie słyszałem Słowa w kościele. Dopiero na Światowych Dniach Młodzieży pierwszy raz usłyszałem Słowo. I od tej pory, od 2005 r., codziennie Pan Bóg do mnie mówi poprzez swoje Słowo. Modlę się, uczestniczę we Mszy Świętej.

Był jeszcze jeden ważny moment w moim wychodzeniu z uzależnień. Byłem z dziewczyną, ale nie mogłem sobie poradzić z moim bałaganem w sferze seksualnej. Pamiętam, że poszedłem do kościoła, jeszcze przed nawróceniem, nikogo nie było, ukląknę przed tabernakulum, powiedziałem: „Słuchaj, ja Ciebie nie znam, ale powiedzieli mi, że możesz mi pomóc. Z tamtym sobie poradziłem, z tym nie jestem w stanie, proszę Ciebie, pomóż mi! Nie jestem w stanie w żaden sposób Ci za to zapłacić, bo mi się wydawało, że tak się załatwia sprawy z Panem Bogiem, ale obiecuję, że będę codziennie do Ciebie przychodził”. I tak rzeczywiście jest od 2003 r. I to był ostatni dzień, kiedy się masturbowałem. Jestem zdrowym mężczyzną, podobają mi się kobiety, ale Pan Bóg mnie trzyma w czystości. Muszę cały czas współpracować z nim, nie chodzić tam, gdzie nie mogę, nie wchodzić w relacje, które nie są zdrowe dla mnie. Ale Pan Bóg dał mi czystość. To jest jeden z faktów, który potwierdza to, że Bóg ma moc, Jezus Chrystus ma moc wyciągać z każdej, ale z każdej śmierci. Bo to była śmierć. To jedno wydarzenie, które do tej pory jest dla mnie drogowskazem. I widzę, że Pan Bóg mnie wyciągał powoli, ale skutecznie. Od 2003 r. codziennie jestem w kościele, codziennie modlę się Słowem, szukam Go, a on do mnie mówi. Nie miałem dnia od tamtego zdarzenia, żeby Bóg do mnie nie mówił, przede wszystkim o swojej miłości, o tym, że przebacza wszystko i każdemu.

Jak się z tym czuleś, że ty gdzieś daleko pomagasz innym, głosisz im Słowo Boże, a w kraju została twoja chora mama?

- To była jedna z poważniejszych walk, jakie miałem. Co ja tutaj robię, jeśli moja mam cierpi samotnie w domu? Czy ja to sobie wymyśliłem, czy to jest może ucieczka? Ale za każdym razem wychodziłem z tego zwycięsko. To znaczy: kocham moją mamę, ale jestem przekonany, że to była wola Pana Boga, który mnie wziął, wyprowadził na pustynię po to, żeby mnie stworzyć na nowo, żeby mnie zbudować na nowo jako człowieka. Byłem pokręcony, miałem ogromne deficyty emocjonalne i psychiczne. A jestem teraz nowym człowiekiem. Pomagałem mamie na tyle, na ile mogłem. Ja nie jestem Zbawicielem mojej mamy, tym się też broniłem, mógłbym oddać życie za nią, a ona wcale mogłaby nie być zbawiona. Najczęściej z nią o tym rozmawiałem i do tego ją motywowałem, żeby pomocy szukała w Chrystusie. To tylko On może odpowiedzieć na jej pytania, wątpliwości. Mamie, jeszcze na dzień przed jej śmiercią, powiedziałem: „Jeśli nie w Chrystusie, to pomocy szukaj w Maryi”, bo rzeczywiście mama miała bardzo dobrą relację z Maryją.

Wcale też nie mówię, że jestem 100-procentowym chrześcijaninem, w tym sensie, że ja się nim codziennie staję. Codziennie mam wybór: czy zaczynam dzień od WhatsAppa i wiadomości, czy zaczynam dzień od Boga i od modlitwy. Kiedy mam możliwość coś zarobić, to albo wybieram drogę prawą i czynię dobro, albo wybieram drogę nieprawą, czyli robię coś złego, krzywdzę, oszukuję, itp.. Tak będzie do końca życia. To nie jest tak, że człowiek raz zdecydował, jak często mówi się w kościołach protestanckich, że raz wybrałem Chrystusa na mojego zbawiciela. Nie, ja go wybieram wielokrotnie podczas dnia: czy mówić prawdę, czy wyrzec się siebie dla drugiej osoby?

Jak docierasz do ludzi w Zambii?

- Być sobą, to jest najlepsze. Na III roku seminarium uświadomiłem sobie, że jestem rasistą. Powiedziałem o tym swojej współnocy, 30 Zambijczykom, to mi odpowiedzieli: „Mariusz, ale my wiemy. Nam to w ogóle nie przeszkadza. Możesz być taki, jaki jesteś”.

I nadal jesteś rasistą?

- Już nie. Jechałem do Zambii z taką myślą, że ja, po moich doświadczeniach, po psychologii, będę ich czegoś uczyć. Na pewno czegoś uczę, ale przede wszystkim dostaję. Miłość bezwarunkową, dostaję akceptację.

Nie czujesz się samotny?

- Samotność jest wpisana w powołanie księdza. Na pewno chwilami się tak czuję, ale zawsze jest to moment, żeby być bliżej Chrystusa, w Nim szukać tego wypełnienia. Ja mam o tyle lepszą pozycję, że wielu rzeczy w życiu próbowałem, próbowałem zapełniać braki wszystkim, ale to mi nie przynosiło satysfakcji. Już wiem, że ani kobieta nie jest w stanie zrozumieć mnie do końca, ani najlepsze narkotyki czy cudowne miejsca itd. nie dają mi satysfakcji. Kupuję samochód, za dzień ta radość z kupowania mija. Byłem z dziewczyną przez jakiś czas, ale widzę, że nie rozumiemy się do końca, a chcę być rozumiany. Nie chcę ranić, a jednak ranię. Widzę, że ratunkiem dla mnie jest bycie sobą we wspólnocie ludzi, którzy mnie znają, którzy mi też przebaczą. Albo, jeśli jeszcze mi nie przebaczyli, to jest szansa, że mi przebaczą. To jest walka cały czas, to nie jest tak, że już złapałem Pana Boga za nogi. Człowiek do końca życia ma możliwość wyboru. Wolna wola, którą dostaliśmy, to ogromna tajemnica. Człowiek może powiedzieć: ja Ciebie nie chcę, żaden Bóg nie istnieje. Człowiek chce być, to jest najczęstsze, bogiem swojego życia.

Jak to ostatecznie się stało, że jesteś księdzem?

- Pan Bóg sam wybiera – wybiera tego, kogo chce. Nie dlatego, że jesteś dobry. Ja nie zostałem wybrany na księdza, dlatego, że jestem dobry. Nie jestem dobry – ja to ewidentnie widzę, że ten stary człowiek jeszcze we mnie żyje.

Mnie się wydaje, że jesteś w lepszej sytuacji niż księży, którzy zaraz po szkole idą do seminarium. Ty znasz życie, także jego ciemne strony, z autopsji. Sam jesteś świadectwem.

- Najlepiej czuję się, kiedy ewangelizuję złodziei, prostytutki i alkoholików, ludzi ulicy. Ja się z nimi czuję jak z braćmi i siostrami. Najswobodniej jest z tymi, którzy dotknęli dna. Tam już jest pewne zatrzymanie, refleksja. Człowiek musi zobaczyć, że nie jest Bogiem, nie jest panem własnego życia.

Musi być pokora.

- Pokora, ale nie przed ludźmi, lecz przed Bogiem. Stanięcie w prawdzie.

Dziękuję.